

Za kilka dni rozpoczniemy druk powieści Bogdana Ruthy pt. „Ostatni sezon w Szwajcarii”, przygotowywanej do wydania przez Państwowy Instytut Wydawniczy. Autor skrócił dla nas swą pracę o mniej więcej połowę, aby dostosować ją do wymogów tekstu drukowanego w odcinku. B. Rutha opisuje dramatyczny, obfitujący w liczne przygody, przetrzut pewnych tajnych materiałów ze Szwajcarii przez Włochy i Francję do Hiszpanii, gdzie w 1938 r. obrońcy Republiki kontynuują nierówną walkę z wojskami faszystowskiego generała Franco.

Autor znany jest w Poznaniu z fragmentów swych prac literackich drukowanych w miejscowej prasie, a zwłaszcza z książki „Opowieści z Davos” wydanej przez Wydawnictwo Łódzkie. Urodził się w Poznaniu w 1920 r. Przed wojną studiował medycynę w Szwajcarii, gdzie nawiązał kontakty z Komunistyczną Partią Hiszpanii i rozpoczął współpracę z organizacjami, niosącymi pomoc Republice Hiszpańskiej.

Obecnie pracuje nad dwiema książkami o tematyce związanej z problemem hitlerizmu: „Przyjęcie w Anglettere” oraz „Lew Gutman-Podolski”.

W związku z drukiem powieści B. Ruthy, poprosiliśmy autora, by napisał nam o swoim warsztacie pisarskim, o technice pisania, o tym co przede wszystkim stara się powiedzieć czytelnikom w „hiszpańskim” rozdziale swojej twórczości, no i o tym jak doszło do jego udziału w akcji na rzecz Republiki Hiszpańskiej. Wypowiedź pisarza na te właśnie tematy zamieszczamy poniżej.

Bogdan Rutha o sobie

O czym przede wszystkim myślę, kiedy siadam do pisania? — Przede wszystkim staram się czytelnika nie nudzić, i informować, i jeszcze, by to co piszę było dowcipne, i budziło wzruszenie, pamiętając jednak o tym, że wzruszenia są różne: jednego wzruszy gdy bohaterowi ukradną zegarek, lub gdy znajdzie wypchany portfel, albo kiedy mu nabiją, innego wzruszą astry w pysku mamuta wykopanego nad rzeką Berezówką na Syberii.

Chcę zaciekać

Różne są też rodzaje humoru. Ja uprawiam melancholijny, będący rezygnacją bez buntu, znoszeniem nieszczęścia na wesoło, ponieważ jest ono tak wielkie, że aż śmieszne. Staram się też w miarę możliwości nie nudzić. Ciągłe powtarzanie sobie i innym, że pierwszym zadaniem człowieka na ziemi jest nie nudzić innych ludzi. Mam swoje krótkie, niezawodne kryterium dla sztuki: co nudne, jest zle — najgorsza myśl propagowana nudnie, jest antypropagandą — i jeszcze, co piękne, jest pozytywne, bo jak powiedział Lenin — Anatol Łunaczarski: piękno samo jest już celem wystraszającym, gdyż uszlachetniając, czyni człowieka doskonalszym. Jedyną korzyść dla autorów piszących nudno, widzę w tym, że nie drażnią innych autorów.

Również staram się informować, podawać fakty, opisywać prawdziwe zdarzenia. Mamy mało czasu — wszyscy pragną rzeczowych i rzetelnych informacji, chcą się uczyć, jak najwięcej wiedzieć.

Wszystko to razem ma sprawić — i co jest może najważniejszym zadaniem sztuki — by jeden człowiek mógł lepiej porozumieć się z drugim, aby pomniejszyć naszą samotność. Niestety, dokoła rozpowszechniona jest twórczość na zasadzie: a ja napiszę, namaluję coś takiego, czego nikt nie zrozumie! Dla mnie wartość ma tylko co jasne, proste, i przeznaczone dla ludzi.

Co do techniki pisania, stylu itp. — bo pisanie, to oczywiście kwestia smaku przede wszystkim — staram się pisać tak, by tekst czytało się nie tylko na pierwszy rzut oka, lecz również na drugi i trzeci, a więc by był aluzyjny, aby czytelnik sam szukał i znajdował związki i odpowiedzi. Unikam tematów łatwych i popularnych: kobiet i sensacji; natomiast staram się egzotyzować powszechność.

Pasjonują mnie nie tyle długie opisy stanów ducha, ile skróty — celne i przenikliwe. Tworzenie, to umiar i wybór, a więc ciągła eliminacja, również wieczna walka ze sobą między chęcią ukrycia i pokazania tego, co ma się do powiedzenia — jak w obrazie, gdzie najbardziej interesujące jest to, co artysta pominał — podobnie jak suknia dla

społeczną, z doksztalcaniem się, podobnie jak my. Niech więc swój Dzień maja. Będziemy mogli publicznie dać wyraz naszym uczuciom, zabawić się całkiem jak 8 Marca... Bo dopóki nie ma Dnia Mężczyzn, równouprawnienie jest pojęciem nieco mitologicznym.

Mit I

Za pobierz równouprawnienia przyjęło się uważać pracę zawodową kobiet, dlatego skoncentrujemy się wyłącznie na tym zagadnieniu. Inne dziedzinie w odczuciu społecznym uchodzą za mniej istotne.

Ulubiony szlagier, gdy mowa o zatrudnianiu kobiet, brzmi: gdzie ich kwalifikacje? Przypomnijmy, że był on modny nawet 10 lat temu,

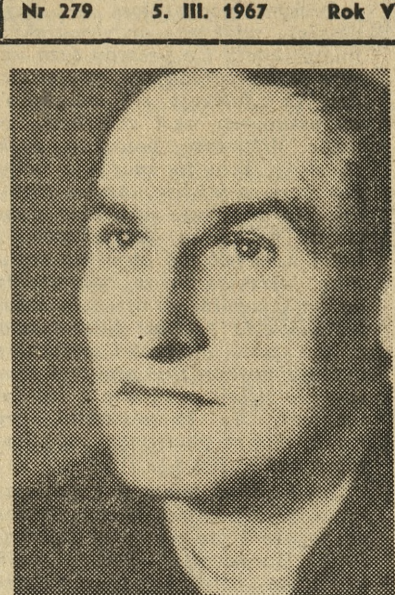
Dokończenie na str. 2

POGLĄDY·POLEMIKI·POSTULATY



DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 279 5. III. 1967 Rok VII



Bogdan Rutha

cej boją, a co w końcu każdego z nich musi spotkać, ich bezbronność wobec zaczajonego, nie wiadomo gdzie wroga — wszystko to jest metaforą do naszego wspólnego losu tu na ziemi, do naszych walk i wysiłków o jego zmianę, o sprawiedliwość — do życia każdego z nas, w którym, pewne braki trzeba przyjąć jako nieodzowną konieczność, w którym wszystko jest w jakiś sposób ograniczone i niedoskonałe.

Byłem kurierem

Drugą książką związaną tematycznie z wojną hiszpańską jest „Ostatni sezon w Szwajcarii”. Jest to relacja z podróży ze Szwajcarii do Barcelony, w całości oparta na autentycznych przeżyciach własnych. Byłem kurierem, współpracownikiem wywiadu, również hiszpańskiego, skierowanego przeciw gotującemu się do wojny faszystowskiemu. Wiozłem do Hiszpanii m. in. klucz do szyfru radiowego dla Madrytu. Szwajcaria była wtedy ośrodkiem wszystkich wywiadów, i tajnej działalności politycznej mocarstw. Hiszpania tradycyjnie zajmowała drugie miejsce, po Szwajcarii, w pełnieniu tych obowiązków.

Leczając się w Szwajcarii, i studiując tam medycynę, nawiązałem kontakt z Komunistyczną Partią Hiszpanii, przez działającego w Lucernie i w innych miastach, półlegalny Komitet Pomocy Dla Hiszpanii Republikańskiej, i przez zaprzyjaźnionego ze mną pewnego przywódcę Komunistycznej Partii Hiszpanii, który leczył się tu po postrzałach na froncie. Brałem udział w pracach Komitetu na terenie Szwajcarii. Włoch, Francji, w przerzutach przez granicę w Pirenejach ochotników, również ze Związku Radzieckiego szczególnie narażonych na pochwycenie, bo pilnie wyszukiwanych przez faszystów; uczestniczyłem w ewaku-

Dokończenie na str. 2

Michał Łuczak

Zakazane piosenki

Nie odkrywam przysłówiowej Ameryki twierdząc, że oddanie do użytku nowej płytki (poczwszy od szkoła a skończywszy na tzw. punkcie naprawczym) otwarcie drogi (na wet o znaczeniu ściśle lokalnym), czy też wizyta dostojnika w gromadzie — to wydarzenia, które według powszechnie przyjętego zwyczaju, nie mogą obejść się bez celebrowania. W celebrowaniu obowiązkowo brać musi udział szerokie grono miejscowych notabli i młodzieży szkolna. Konieczność z wiązankami kwiatów. Obecność orkiestry — bardzo pożądana. Udział tych, którzy od dawny do użytku obiekt budowali np. w czynnie społecznym, nie jest natomiast rzeczą konieczną.

Każda tego rodzaju uroczystość ma swego cichego bohatera — mistrza ceremonii. Niektórzy z nich osiągnęli wyżyny sztuki reżyserskiej. Po trafiają napisać scenariusz uroczystości (np. wmurowania kamienia węgielnego) wykonujący jakikolwiek fałszywy krok. Wszystko jest bowiem dokładnie sprecyzowane. Główny celebrans otrzymuje wytyczne, które m. in. określają, że przemówienie ma być wygłoszone w odległości 5 kroków od miejsca wmurowania, a

Mieczysław Skąpski

OBIECUCY DEBIUT

Z dużą nieufnością biorę do ręki tomy debiutanckie. Tyle w nich jest zwykłego młodzieńczego zacietrzewienia, jakieś buńczuczności, niefrasobliwości, a jednocześnie, niestety, tyle zwykłej niestaranności językowej, braku szacunku dla trwałych wartości języka, stylu i składni, że odkładam te tomy na półkę zniechęcony. Dlatego opowiadania Andrzeja Górno*) przeczytałem z satysfakcją wynikającą przede wszystkim z zaskoczenia.

Zaskakuje bowiem jego proza dojrzałością, brakiem mizdrzenia się, konsekwencją realizacji świadomego zamysłu pisarskiego. Trzy opowiadania składające się na debiutancki tomik stanowią prozę formalnie jednorodną, o akcji identycznie usytuowanej geograficznie i o podobnej zawartości treściowej. Rzecz dzieje się zawsze na wsi, przy czym jest to taka wieś leżąca gdzieś blisko, a nawet czasem tuż na skraju miasta. Ludzie działający są mieszkancami wsi, jednakże mają z miastem rozliczne kontakty i w ich życiu, w postawach, wpływy miasta i miastowego stylu życia odbijają się wyraźnie, stanowią — jak w opowiadaniu „Los” — nawet zasadniczą ośnowę konfliktu. Autor penetruje głównie obyczajową warstwę życia, interesując go psychologiczne uwarunkowania ludzkiego działania.

Obyczaj, jak wiadomo, nie są czynnikami stałym, zmieniając się pod wpływem przemian cywilizacyjnych, przede wszystkim uprzedmiotowienia i urbanizacji, jako pochodnej rozwoju przemysłu. Środowiska znajdujące się na styku wsi i miasta są tygłem przemian najbardziej może charakterystycznym dla naszej epoki. Jeśli Górny zajął się ludźmi z tych środowisk świadczą to nieźle o jego wyczuciu tematu najważniejszego wśród wielu ważnych.

Tom składa się z trzech dość dużych opowiadań, z których dwa („Ślub”, „Los”) mają podobnie skonstruowany wątek. „Ślub” jest historią dziewczyny nieprzystosowanej, dumnej, namiętnej, pragnącej się wybić ponad przeciętność. Środkiem do celu ma być mężczyzna, chłop na schwał, za którym się wszystkie dziewczyny oglądają. Mogłoby się tu także przysłużyć panice ze dworu albo ułani, którzy zawitali do wsi w przeddzień wojny. Ale ci traktują dziewczynę jak przygodę, jakich w życiu wiele. Gdy cała społeczność męska wsi zrezygnowała już z dziewczyny, wraca z wojny ów wymarzony, obejmuje teraz stanowisko kierownika gospodarstwa państwowego. Bierze dziewczynę po prostu do siebie, jak swoją własność. Po pewnym czasie weźmie

kwiatów (z biedą nadawałby się na premierę w mediolańskiej La Scali), a pozostałe miały tylko wiązanki.

Uczestnicy posiedzenia, którzy sądzili, że powyższy incydent wyczerpał program celebrowania, zostali mile zaskoczeni, kiedy po trzech godzinach obrad mistrz ceremonii zapowiedział występ szkolnego zespołu wokalo-instrumentalnego.

Wkroczyło na salę trzydziestoro dziewcząt i chłopców. Do poziomu ich popisów nikt nie miał zastrzeżeń. Wręcz przeciwnie. Repertuar nie był jednak szczęśliwie dobrany.

Melodię z filmu „Zakazane piosenki” wykorzystał jakiś malkontent, półgłosem mówiąc: „Dla tych dzieciaków, to w tej chwili rzeczywiście zakazane piosenki, bo zamiast je śpiewać powinni być na lekcjach”.

Trzeci punkt celebrowania przewidywał, że podczas obiadu, wydanego dla uczestników narady, przegrywać będzie orkiestra. Niestety, nie grała. Występ orkiestry został stordedowany — jak sumitowali się organizatorzy — bezdusnością nie których (ale nie wszystkich) zakładów pracy, nie chcących zwolnić pracowników-muzykantów. (A dlaczego szkoła mogła zwolnić uczniów? — wołamy gromko).

Wprawdzie znalazł się uczestnik narady, który oburzając stanowisko dyrekcji przedsiębiorstwa uznał za jedyny optymistyczny akcent „pompy” (że niby zwyciężył zdrowy rozsądek), ale nie rządzimy. Był cios ten zasługiwał na poważne potraktowanie. Był to po prostu głos maniaka.

ślub, ale z inną. Rzecz można by potraktować jako typową historijkę dziewczyny, która przebiegając w chłopcach za młodu zostaje na koniec starą panną. Można by, gdyby nie sposób pisania, cienki, aluzyjny, sięgający do stanów duszy ludzkiej, do mrocznych zakątków świadomości, gdzie nie wszystko daje się wytłumaczyć prosto i logicznie, gdzie los ludzi kształtuje się niekiedy na przekór troskliwie układanym planom.

W „Losie” mamy także do czynienia z jednostką wyobcowaną, chcącą wyrastać ponad wiejską przeciętność. Jest to historia wiejskiego byznesmana, spryciarza, który zawsze potrafi wziąć los jak byka za rogi, zmusić aby mu służył. Czy zawsze? W końcu jednak nawet tak butny, pewny siebie cwaniak musi skapitulować przed opinią publiczną wsi.

„Dynie” traktują o bliskich, zaprzyjaźnionych sąsiadkach, które rozdzielił kradzież dyń. Nigdy o tej kradzieży między sobą nie wspomną bojąc się właśnie zerwania stosunków, które są im tak potrzebne na co dzień. Ale nie można o kradzieży przestać myśleć, stosunki oziębają się mimowiednie, aż do całkowitego zerwania, do wojny nigdy niewypowiedzianej. I oto nikt do nikogo pretensji nie zgłosił a przecież dwie sąsiadki żyć ze sobą nie mogą, nie odezwa się do siebie nawet słowem. Konflikt zarysowany jest miśternie, psychologicznie pełnie.

Jest jeszcze opinia publiczna wsi, odgrywająca we wszystkich opowiadaniach ważną rolę. Opinia ta jest zawsze obecna, czujna, przyglądająca się — jak antyczny chór — przebiegowi tragedii, komentująca, a nawet czasami ingerująca w wypadki. Opinia ta nie toleruje tego, co wylamuje się ponad przeciętność, nagina ona do powszechności. Oczywiście, sytuacje takie istnieją tylko na wsi, gdzie wszyscy wszystko o sobie wiedzą.

Czytając z zainteresowaniem debiutanckie opowiadania Górno i zdając sobie sprawę z ich dojrzałości musimy jednak zgłosić pretensje. Pierwszą jest pewna monotonia ujęcia konfliktów. Wszystkie opowiadania są tak samo pozbawione akcji, pisane takim samym stylem, w ten sam sposób, mroczny, zawołowany, z podtekstami, ujmujący problemy. Wydaje się, że młody autor powinien spróbować innych sposobów narracji, wzbogacić skalę środków wyrazu, aby już na progu pisarskiej kariery nie popaść w sztampe.

*) Andrzej Górny „Ślub i inne opowiadania”. Czytelnik 1966, str. 137, zł 10.

Nasz felieton

nii oznajmił, że przybyły delegacje zakładów pracy i szkół, by złożyć życzenia: owocnych obrad!

Delegacje kolejno wkraczały na salę. Niestety nie towarzyszyły temu ani dźwięki fanfar, ani łoskot werbli. Trzeba to uznać za kardynalne niedopatrzenie. Zostało ono zrekompensowane tylko częściowo tym, że delegacje odczytywały laurki i wręczały kwiaty. Znow z przykrością trzeba jednak zauważyć, że zaledwie jedna delegacja dźwigała kosz

z kwiatów

z kwiatów

z kwiatów

z kwiatów

z kwiatów

z kwiatów

z kwiatów

z kwiatów

z kwiatów

z kwiatów

z kwiatów

My chcemy Dnia Mężczyzn

Dokończenie ze str. 1

Jeszcze dziś można go odnieść wobec kobiet starszych. Lecz wystarczy przejrzeć na zimno co nam GUS podaje: Spośród wszystkich pracujących w PRL (dane z 64 r.) średnie wykształcenie zawodowe posiadało aż 11,8 proc. kobiet, a tylko 6,4 mężczyzn. W wykształceniu wyższym ustępowałyśmy mężczyznom o pół procent, lecz skoro stanowimy więcej niż połowę mieszkańców kraju, można sądzić, że już wkrótce powinniśmy osiągnąć sprawiedliwe pół na pół.

Mit II

Można to sformułować tak: kobieta pracuje nie po to, by zarobić, lecz by dorobić. Na fatalaszki, na kieszonkowe. Takie mniemanie ustawiła nowo zatrudniana pracowniczka na... mniej popłatnym miejscu, utrudnia awans tej ze stażem. Nawet jeśli jest samotną matką — tym gorzej dla faktów. Rada zakładowa woli wspomagać, dyrektorka fundować premie. Naukowcy stwierdzili, że feminizacja się najpierw za wody mniej popłatne. Mężczyźni oddają je „równouprawnionym” walkowerem. Lecz nawet w tych zawodach zatrzymują chętnie stanowiska kierownicze (o tym jeszcze potem), bo... są lepiej płatne. W rezultacie, w kategorii pracowników o równym przygotowaniu, bo z dyplomami szkół wyższych, około 72 proc. kobiet zarabiała (64 r.) poniżej 3 tys. zł, natomiast mężczyźni w tej grupie zarobków było ledwie około 24 proc. No, i rzeczywiście w takiej konfiguracji kobiety... dorabiają. A chciałoby po prostu zarabiać.

Mit III

Powiecie panowie: kobiety z reguły, choć może mają takie same, czy nawet wyższe wykształcenie, nie pełnią tych samych co my odpowiedzialności, a więc lepiej płatnych funkcji. Naturalnie. Ale tu znów wkraczamy w sferę mitologii: kobiety nie chcą zajmować stanowisk kierowniczych! Same się wycofują! Wybierają biurko, dobrowolnie odstępując koleżdze miejsce w produkcji... Powiedzmy od razu: taka postawa, bo można ją istotnie często zaobserwować, mężczyznom odpowiada. Pielegnują więc ją z pieczołowitością. Tak dalece, że nawet same kobiety często ulegają sugestii. Część istotnie nie chce. Działają tu, podobnie jak u mężczyzn, opory wynikłe z tradycyjnego wychowania. Jeśli starczyło im sił na wyjście z zakletego kręgu domu, to i tak zrobiły sporo dla urzeczywistnienia nowych założeń społecznych. Nie miały im za złe, że obawiają się nawet koleżanek tradycyjnie myślących, które wolały wykonywać „meskie decyzje”. Wszak nie tylko w tej dziedzinie życie wyprzedza przebudowę systemu myślenia.

Część rezygnacji z odpowiedzialnego stanowiska ma źródło w uczci-

wym pojęciu obowiązku. Decyzja: nie! zapada, gdy kobieta uzna, że nie da rady bez krzywdy dla pracy i domu, czy odwrotnie. Ten rodzaj rezygnacji jest najsmutniejszy, gdyż najjaskrawiej dowodzi, że „równouprawnieniu” daleko do „równouobowiązku”.

Mit IV

Kobieta — praca — rodzina. Temat jak ocean. Nauka wypowiada się rozmaicie: „Dla kobiety dom przede wszystkim” — (tak zdaje się mawiała też pani Dulski), a po stwierdzeniu, że funkcja macierzyństwa jako taka nie deformuje specjalnie psychiki kobiety. W życiu też bywa rozmaicie. Znamy świetnych kucharzy, mężczyzn, znamy wyrodne matki. Ale wróćmy do mitów. Otóż każda młoda kobieta przyjmowana do pracy, to potencjalna matka, więc pracownik trochę na niby. Bierze się to m. in. stąd, że część kobiet, zwłaszcza o niewielkich „inwestycjach oświatowych”, istotnie rzuca pracę. Ba, zdarza się to nawet matkom z kosztownym dyplomem magisterskim. I tu mamy nie tyle mit, co błędne koło. Wiele kobiet nie chce, lecz musi tak postąpić, bo ich mężowie nie potrafią czy nie chcą dzielić z nimi obowiązków drugiej połowy dnia. (Brak dostatecznej sieci do- brych żłobków, przedszkoli, stołówek to odrębne zagadnienie). Dopóki nie nastąpią zmiany w męskim stylu myślenia wszelka dyskusja na temat: kobieta — praca — rodzina będzie tylko mioceniem banałów.

Niedawno w tygodniku „itd” ukazał się interesujący cykl pt. „Królestwo za mężczyznę”. Autorka wspomina o oporach przy przyjmowaniu kobiet na studia, choć na ogół lepiej zdają egzaminy. Wynikają one z żywiołowego feminizowania się pewnych zawodów i wykuszania się żeńskich kadr dyplomatów z przyczyn wyżej podanych, co odbija się niekorzystnie na polityce kadrowej w ogóle. Znow błędnego koła ciąg dalszy. Cygan winien — kowala — wieszają! Miejsmy jednak nadzieję, że średniowiecznych poprawek do Konstytucji PRL nie będzie, że dopóki jeszcze kobiety muszą rodzić, powinniśmy ten fakt honorować trzema miesiącami urlopu i koszem kwiatów. Po cichu wolałobyśmy te zaszczyty sprzedać mężczyznom, lecz to utopia. Natomiast w epoce kosmicznej mamy prawo żądać od naszych partnerów, by rzadziej mówili o „równouprawnieniu”, a częściej stosowali „równouobowiązku”.

Bez mitów

Na szczęście czas robi wyłomy w okopach tradycyjnego myślenia. Wspólna szkoła, studia, układają stosunki dziewczyna — chłopak na zasadzie faktycznego partnerstwa. Byłe tylko rodzice, a zwłaszcza „nadtroskliwie” mamy, nie przeszczepiali tradycyjnych nawyków wychowawczych na nowe czasy, wiele dziś jeszcze przykrych i trudnych problemów „równouprawnienia”, jak ongiś emancypacji, przędzie do lamusa. Mocno wierzę, że niedaleki już czas, kiedy w każdej zawodowej sytuacji nie będzie istotne: mężczyzna czy kobieta. O przydatności człowieka, o jego pozycji decydować będą już tylko kwalifikacje i predyspozycje do określonego zawodu czy funkcji.

„RÓWNOUPRAWNIONA”

Nie ukrywajmy braków

Mówimy bardzo wiele o konieczności zaangażowania, słusznie rozumiejąc, że bez tego nie uda się nam realizować socjalizmu. Ale nie oznacza ono o- staniania i ukrywania braków i niepo- wrożeń. Nie bardziej błędnego. Mniema- nie, że można uzyskać spokój za „enę niewidzenia rzeczywistych sprzeczności i trudności w rozwoju kraju i społeczeń- stwa, jest oczywiście największą bzdurą w czasach nowożytnych — a często, nie- stety, ciężkim schorzeniem.”

Tak pisze Stanisław Bębenek w „Kulturze” w artykule „Wymowa faktów”, poruszając problemy me- tod naszej propagandy.

„Polska stała się — czytamy — w krótkim dwudziestolecu państwem z no- woczesnym przemysłem, z rozwiniętym zapiekiem naukowym, kadrowym. Któż temu zaprzeczy? Plany, które realizuje- my obecnie, wyrównują powstałe w prze- szłości dysproporcje, a więc jest szansa na przezwyciężenie trudności o podsta- wowym znaczeniu. A równocześnie od- czuwamy niepełną skuteczność naszego propagandowego wysiłku. Jest to tym dziwniejsze, że mamy pełne przeświad- czenie o generalnej słuszności naszych koncepcji politycznych i gospodarczych. Jak zrozumieć i ocenić te dwa zjawiska pozornie wykluczające i w pewnym sen- sie nielogiczne? (...) Zgłaszam do dys- kusji problem pierwszy. Jaka ma być propaganda w okresie decentralizacji de-

cyzji ekonomicznych, co wiąże się nie- rozrwalnie z „decentralizacją” odpo- wiedzialności? (...) Jestem przekonany, że obecnie nie globalne liczby planu na- rodowego, nawet imponujące, przema- wiąją do obywateli, a te, na które mają oni rzeczywisty wpływ. A więc informa- cja i propaganda muszą w każdym za- kładzie operować konkretnymi z całą e- widencją kłopotów, towarzyszących rea- lizacji planowych założeń (...). Sądzę, że dziś lakiernictwo jest bardziej, niż kie- dykolwiek równoznaczne z demobilizacją społeczeństwa i powinno być przez nas tępiące stanowisko i bezwzględnie.”

Zdaniem Bębena istotny jest zwłaszcza sposób uprawiania pro- pagandy. Piszemy: „Kto z ludzi uczciwych odmówi nam dziś, po 22 latach sukcesów, jakie mamy do odnotowania w rolnictwie i w życiu społecznym na wsi polskiej? Dlaczego? Być może nie można powiedzieć, że np. istnieją na wsi dziś i takie kółka rolni- ckie, które nie w ich wsiach nie znaczą, bo nie nie robią? Przecież właśnie dla- tego, często młody obywatel, patrząc na gnuśne życie w jego wsi, styższy nieusta- jące hosanna na temat kółek rolniczych w Polsce i przestaje wierzyć nawet w te osiągnięcia, które są bezsporne. To nie kółka rolnicze ponoszą za to odpowie- dzialność, a ci, którzy się propagandą kółkową zajmują lub zajmować powin- ni (...). „Powie” — zechow, wyłącznie a- firmatywne rozumienie propagandy, in- mo że dawno już minęły warunki, które je zrodziły — kolacje się jeszcze tu i ów-

Z KSIĄŻKĄ NA TY

Z szeregu pozycji wydanych ostatnio nakładem „Ossolineum” na pierwszy ogień wysunąłbym książkę może nie najznamienszą, ale w treści pasjonującą. Myślę o przełożonej przez Franciszka Buhla głośnej pracy Franka Arnau „Sztuka fałszerzy — fałszerze sztuki”, ze zna- miennym podtytułem — trzy- dzieści wieków antykwaryskich mistyfikacji. Co prawda teza au- tora jest przerażająca, gdy stwier- dza, że „fałszuje się wszystko”, wszystko, co nęci zbieraczy, co może przynieść poważny zysk. Niestety, teza ta znajduje pełne pokrycie w tekście. Arnau meto- dycznie analizuje najpierw samą istotę problemu fałszerstwa, z kolei szczegółowo objaśnia tech- nikę fałszowania w odniesieniu do poszczególnych dziedzin sztuki, zakreśla granice fałszerstwa, a wreszcie, w części ostatniej, opisuje najbardziej głośne i sen- sacyjne afery związane z fałszo- waniem czy to obrazów, czy rzeźb, monet, skrzypiec, zabytko- wych ozdób itp.

Spod pióra znawcy i popula- ryzatora, Tadeusza Broniewskie- go, wyszedł piękny esej „Michał Anioł Buonarroti”. Bardzo mało kto u nas potrafi tak pisać o sztuce, w sposób przystępny, prosty, a zarazem bardzo głęboki. Postać Michała Anioła, geniusza, naj- lepszego z najlepszych znawcy ciała ludzkiego, rzeźbiarza, malar- za, architekta i poety, rysuje się z tego niewielkiego szkicu, uzupeł- nionego świetnym doбором reprodukcji, bardzo prawdziwie i ludzko.

Cenną pozycją pamiątnikarską, z uwagi i na samą artystkę, i na klimat środowiska, które opisuje, jest tom wspomnień Hanny Krze- tuskiej — „15% abstrakcji”. I jeszcze raz okazuje się, jak bar- dzo potrzebne są podobne wspo- mnienia. Raz, że ukazują pewne fakty, wydarzenia, zjawiska w pełniejszym świetle, że na no- wo naświetlają, dwa, że są przy- pomnieniem dla nas samych wie- lu rzeczy zanikających w pamię- ci. Krzetuska książką swą obej- muje przedwojenne lata krakow-

Eugeniusz Paukszt

Nauka i sztuka

skie, z wypadami zagranicznymi łącznie, okupację w tymże mie- ście i powojenne, po dziś dzień, czasy wrocławskie, gdzie osiadła wraz z mężem, Geppertem, na stałe. Myślę o Wrocławiu, o kli- macie jego pierwszych lat, o tej atmosferze pasji, działania, zapa- łu, we wszystkich dziedzinach, o ludziach jakby od nowa narodzo- nych, tak pełnych dynamiki. I o ich twórczości, o osiągnięciach. Krzetuska odnotowuje to wszyst- ko skrzętnie, a że tak wiele tu nazwisk, sylwetek, to zrozumia- ła, zawsze żyła i tworzyła pośród ludzi. Napisane to ciepło, ser- decznie, i bardzo ciekawie.

Swoistą rewelacją jest ukaza- nie się u nas napisanych przez Polaka, nader dodatnio ocenio-

nych przez specjalistów angiel- skich, „Dzień w Anglii do roku 1485” Jerzego Zdzisława Kędzier- skiego. Autor wychodzi z ważne- go założenia, że „historiografii polskiej trudno chyba będzie po- szerzyć swoje podstawy i hory- zonty, zanim nie powstaną u nas szkoły historyczne poszczegól- nych narodów i cywilizacji”. Jak- że mądrze, jak słusznie! Praca napisana jest z polotem, bez nud- nego szkolnictwa; czyta się ją więc lekko.

W zapoczątkowanym przed pa- ru laty cyklu historii literatury, po tomie francuskim i hiszpań- skim, otrzymujemy obecnie za- rys „Historii literatury węgier- skiej”, pióra węgierskich au- torów Tibora Klaniczay, Josefa Szaudera i Mikłosa Szabolcsi. Zarys jest przejrzysty, jasno u- kazuje poszczególne okresy ro- zwojowe, tendencje i osiągnięcia, także w płaszczyźnie porównaw- czej. Słuszny jest dodatkami jest rozdział o stosunkach literackich węgiersko-polskich. Należy do- dać, że wydawnictwo jest wspól- ną edycją „Ossolineum” i buda- peszteńskiej „Corviny”.

I na zakończenie, dla informa- cji uczących się jak i ich rodzi- ców, uganiających za lekturami dla dzieci, chciałbym podać, że w „Bibliotece Narodowej” otrzy- małismo krytyczne wydanie „Nie-boskiej komedii” Zygmunta Krasieńskiego oraz „Hamleta” Williama Szekspira. W wydaniu masowym, szkolnym, opracowa- nym przez Zofię Stefanowską, u- kazało się też nowe wydanie „Pana Tadeusza” — Adama Mickiewicza. — Jakież łuki w doborze lektur szkolnych na pe- wien czas zostają zatem usunięte.

MALARSTWO MARTWYCH KONWENCJI

O bie wystawy: prac Eugeniusza Wier- bickiego w klubie fabrycznym HCP oraz malarstwa Anny Cyronek i Tadeusza Kalinowskiego w galerii ZPAP nie w zasadzie formalnie nie łączy, wy- stawy reprezentują najbardziej prze- ciwne postawy artystyczne: Wierbicki jest zdeklarowanym realistą, Kalinow- ski i Cyronek są przedstawicielami skrajnej abstrakcji. Obie wystawy mają tylko jedną wspólną cechę: reprezentują malarstwo w znacznym stopniu skon- wencjonalizowane, nie wychodzące poza tradycyjne kanony wypracowane wcze- śniej przez innych.

Wierbicki środkami starego, trady- cyjnego koloryzmu stara się pokazać

konkretną rzeczywistość wielkiego za- kładu produkcyjnego. Maluje fabrykę w konwencji malarstwie, która roz- dzieliła między środkami wypowiedzi a tematem. Podejmuje się rzeczy am- bitnej, chce pokazać piękno zakładu produkcyjnego, unika jednak konkre- tu — realizmu, w miejsce autentycz- nych obserwacji stawia konwencję, odgra- dza się od tematu; upiększa wszystko przez aluzyjnie, konwencjonalnie pojęte re- alia.

Kalinowski również adaptuje dla swych potrzeb starą konwencję. Jest nią abstrakcjonizm geometryczny Mondria- na. Niedawno, podobnie jak konwencja kolorystyczna u Wierbickiego, służył

on wyrażaniu istotnych wartości, wpro- wadzał do sztuki nowoczesnej nowe, ważne sprawy. Dziś, w twórczości Ka- linowskiego staje się on przeszkodą w przeżywaniu świata, uniemożliwia wy- rażanie własnej osobowości artysty. Za- miast spraw przeżytych przez siebie sprowadza sprawy sztuki do martwego geometrycznego kanonu. Mimo swych wad i niedostatków bliższe jest więc m- larstwo Wierbickiego. Tutaj widz rozumie przynajmniej cele jakie zakłada sobie malarz, może sprzeczać się tylko o ich realizację.

W konfrontacji z malarstwem Wier- bickiego i Kalinowskiego najbardziej obronną ręką wychodzą prace Anny Cyronek. Są one ładne kolorystycznie, estetyczne. Nie budzą zasadniczego sprzeciwu, ale również nie wzruszają widza, są neutralne, suche dekoracyjne. O. B.

Bogdan Rutha o sobie

Dokończenie ze str. 1

acji rannych, w walce na froncie, który nazywamy milczącym. Nota bene, wielu radzieckich ochotników zajmuje dziś w ZSRR wysokie sta- nowiska.

Fragmenty tych książek publiko- wane były w pismach i w Polskim Radio. „W Hiszpanii o świecie” i „Ostatni sezon w Szwajcarii” wy- dane zostaną nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego w War- szawie.

Są to więc książki o wojnie hisz- pańskiej, o prawdziwym początku wielkiej wojny, o roli niektórych przedstawicieli hierarchii kościelnej i międzynarodowego kapitału w tych wojnach, o ludziach walczących w Brygadach Międzynarodowych, ale

nie tylko, również są to książki o samotności człowieka, o jego nieza- winionym wyobcowaniu — nawet wtedy, gdy najmniej można by tego oczekiwać — ponieważ ludzie nie zawsze potrafili porozumieć się z so- bą, podobnie jak ci z wieży Babel, i jak ci, drapiący się na zrujnowaną wieżę kościoła w „Hiszpanii o świe- cie”.

Ja sam przy ich pisaniu poczyni- łem kilka dalszych spostrzeżeń a mianowicie: najcięższą pracą, jest praca wykonywana na leżąco, stwierdziłem, że nie gdzie indziej, tylko w dociętej leży geniusz świa- ta, i że wszystko co genialne w lite- raturze — było drwiną, uświadomi- łem sobie, że książki, które napisa- łem, działały się w czasach, gdy sceny

miłosne w filmach odbywały się na siedząco, i że trudno dojść do pie- niędzy i uznania, jeszcze w możli- wie dobrym stanie, po raz nie wiem już który skonstatowałem, że nie można zrobić z wrony orła, tylko dlatego że się bardzo chce.

Odkryłem, że zbliżanie się jesieni słyhać w nagłym poszumie drzew, a na samym końcu przekonałem się ze zdziwieniem, że wszystko jest proste i zwyczajne jak bicie serca, jak szczęście, które jest głębokim poczuciem jedności ze światem i in- nymi ludźmi, i jak to, że każdy mu- si mieć coś takiego przed sobą, choćby najdalej, co ciągle widzi, co nigdy nie znika mu z oczu, i co jest doskonałe nad wszystko inne, na- wet nad samo życie, bo każdy musi mieć coś, dlaczego będzie napróż- d i dlaczego budzi się co rano — wszystko jest proste i zwyczajne, jak otwarcie i zamknięcie oczu.

na makabryczny dowcip zakrawa fakt, że są w naszym kraju wioski, w których gospodarze dysponujący mniej niż czterema hektarami ziemi — o czym pisze „Tygodnik Kul- turalny” — mają gospodarstwa rozło- żone na 30 do 120 działek (auten- tyczne). To właśnie czasopismo wskazuje w artykule K. Kozuba, że konieczna jest, acz nielatawa, komas- acja gruntów, co przynieść może nie tylko poprawę wydajności pło- dów rolnych z hektara, ale zarazem poprawę dochodowości poszczegól- nych gospodarstw. Poważnego kro- ku na tej drodze dokonać będzie można przy tworzeniu nowych pań- stwowych gospodarstw rolnych z gruntów Państwowego Funduszu Ziemi oraz z gruntów przejętych przez państwo po gospodarstwach podupadłych. Taki kierunek został już zapowiadany i będzie wkrótce realizowany. Tej operacji nie należy zaprzepaścić i do tej operacji w in- teresie społecznym nie trzeba się ograniczać.

O tym, że nie należy rezygnować z różnorodnych sposobów szukania metod poprawiania skuteczności na- szej propagandy przekonuje również Andrzej Krzysztof Wróblewski, na łamach „Polityki”, obchodzą- cej właśnie 10-lecie działalności pu- blicystycznej (serdeczne gra- tulacje!) w artykule „List goń-

czy za bohaterami”. Jest to pierwsza z publikacji tego tygodnika na te- mat poszukiwania ideałów na co- dzień. Nie jest w naszym społeczeń- stwie ideałem dla wszystkich ani bohater typu kapitana Kłossa, ani bohater typu Kildare’a, ani Święte- go, ani też bohater innego typu fi- lmów czy widowisk zachodnich. Przekonuje o tym Wróblewski (nie tylko jego) to, że młodzi ludzie naszej współczesności wcale nie wi- dzą swego bohaterstwa w naślado- waniu tych postaci.

Chcieliby oni widzieć swoje bohat- erstwo w tym, że pragną być w swojej specjalności zawodowej jak najlepiej przydatni społeczeństwu. To, oczywiście, godne jest pochwały, ale jednakże da- lekie do tego, co można by nazwać mi- łąm wzoru bohaterstwa. Brak bowiem wspólnego bohatera dla ludzi różnych zawodów. To pewnie błąd machiny po- pularyzacji lansowania — jak nazywa to Wróblewski. Może błąd literatury i fi- lmu. Może błąd pracy propagandowej organizacji młodzieżowych.

„Ale gdyby nawet nie te wszystkie błędy — zapytuje Wróblewski (nie spo- sób nie przyłączyć się do tego pytania) — czy nasza gleba, gleba okresu stabi- lizacji umysłowej i planowania daży uro- dził postaci, które by przerosły przegró- dzi między poszczególnymi zawodami?” Właśnie to jest pytaniem, chyba niezwykle ważnym dla skuteczności naszej propagandy, której istotną sprawą jest szukanie pozytywnych wzorów. LEKTOR